

Wybuch wojny w 1939 r. zastał mnie w Lidzie, gdzie korzystając z wakacji pracowałem przy remoncie szpitala. Dla nas, na wschodzie, data 17 IX 1939r. była początkiem długotrwałej okupacji, która wpłynęła destruktywnie na ludność zamieszkującą te tereny Polski, zwane Kresami. Kiedy pogłoska się potwierdziła, że staliśmy się ofiarami już podwójnej agresji, popłoch i panika wybuchły w Lidzie. Ja też opuszczałem w pośpiechu to miasto, gdyż wolałem spotkać się z naszymi wrogami - bolszewikami - w rodzinnym mieście Wilnie. Gdy przyjechałem do Wilna zaskoczył mnie spokój i porządek - żadnej paniki, jakby wojna toczyła się daleko na przedpolach Warszawy. Nie odczuwało się żadnego bezpośredniego zagrożenia: gazeciarze sprzedawali nadzwyczajny dodatek "Słowa", w którym naczelny redaktor tego pisma Stanisław Mackiewicz "Cat" oznajmiał, że rzuca pióro i chwyta za szablę, by bronić ojczyzny, która znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zaatakowana z dwóch stron. Przy moście Zienonym zauważyłem stanowisko karabinów maszynowych. Może broniły mostu przed nalotami. Poza tym nie widać było, żeby Wilno było przygotowane do obrony. Zauważyłem też maszerujące oddziały wojska po ulicy Wiłkomierskiej. Spotykani znajomi byli pełni pesymistycznych prognoz, co do przyszłości Polski. Pojawili się w okolicy miejsca naszego zamieszkania pojedynczy żołnierze, proszący o cywilne ubrania. Ludność polska, zamieszkała w pobliżu koszar ogołociła je doszczętnie z mienia, jakie pozostawiły oddziały, po wymarszu na wojnę. W nocy dały się słyszeć głuchoe odgłosy armat i strzelanie, gdzieś na peryferiach miasta. W środku rzeki Wilny stał uszkodzony czołg sowiecki. Przed godziną dwunastą przez ulicę Kalwaryjską wkraczała do miasta czerwona armia. Zdumiała nas potworna ilość czołgów i samochodów ciężarowych, wypełnionych wojskiem. Nie widzieliśmy kawalerii. Wszystkie ważniejsze punkty strategiczne w mieście zostały obsadzone przez wrogie oddziały - walki nie było. Na ulicach pokazały się jakieś cywilne patrole z czerwonymi opaskami na rękawach. Były to zorganizowane bojówki komunistyczne, składające się w przeważającej części z Żydów, uzbrojonych w stare karabiny, pamiętające jeszcze pierwszą wojnę światową. Zaczęły się trudności w zaopatrzeniu w żywność - do czego w znacznej mierze przyczyniło się nagminne wykupywanie żywności przez żołnierzy armii radzieckiej. Wilno przeszło pod okupację sowiecką. To był krótki okres, kiedy Wilno miało pojedynczego okupanta. Czynne były piekarnie, do których ustawiały się potwornie długie kolejki, a więcej chleba nie można było kupić, jak jeden bochenek. Zaczął się masowy rabunek mienia państwowego polskiego. Wojsko wywoziło meble z państwowych urzędów, maszyny i całe fabryki. Na wsi - jeżeli właściciela nie było (np. ziemia oddana w dzierżawę) a dom był w dobrym stanie, rozbierano i wywożono do Rosji. Rabunek dokonywał się różnymi sposobami. I tak na przykład najbogatszy sklep w mieście Braci Jabłkowskich, oficjalnie był zamknięty, ale czarne wejście było otwarte dla przedstawicieli Czerwonej Armii, którzy korzystając z korzystnej relacji złotego do rubla (ustalonego przez władze okupacyjne, 1 zł. = 1 rb.) wykupywali cały towar i wywozili całymi ciężarówkami. Rosjanie wykupywali wszystko. Dla nich wszystko było tak tanie, że n.p. żołnierz nie kupował 25 dkg cukierków a dawał sprzedawcy 20 rb. na cukierki i zdumiony otrzymywał 4kg wybranych. W krótkim czasie ogołoczone zostały sklepy ze wszystkiego. Szczególnie przypadły im do gustu nasze ręczne zegarki. Na mieście ukazały się plakaty z obwieszczeniem, że ludzie posiadający broń winni ją natychmiast zdać. Pod takim pretekstem wyłapano część kadry oficerskiej. Dały się zauważyć pierwsze oddziały jeńców polskich, prowadzonych, nie wiadomo dokąd, przez licznych konwojentów uzbrojonych w pistolety, karabiny z osadzonymi bagnetami. Wilno stał

Wilno stało się miastem smutnym i nagle zbiedniałym. Sklepy świeciły pustkami a mieszkańcy żyli z zapasów. Mimo strasznych, nierównych walk z Niemcami i utratą niepodległości na kresach wschodnich Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie rozpoczął swą działalność: odbyły się egzaminy wstępne, odbywały się wykłady, ćwiczenia. Ludzie zaczęli mówić, że Wilno zostanie przekazane smetonowskiej Litwie. Niektórzy zaczęli się cieszyć, że zniknie tak groźna okupacja sowiecka. Skończy się nędza, wywózki ludzi i terror. Dość długo czekaliśmy na tę zmianę, gdyż Litwini zwlekali z wkroczeniem na Wileńszczyznę, czy raczej Bolszewicy opóźniali ich wejście, chcąc całkowicie ogołocić kraj z dóbr materialnych i częściowo z ludzkich. Wreszcie późną jesienią gruchnęła wieść, że wojsko litewskie wkrocza do Wilna i zajmuje koszary po wojskach polskich. Poszliśmy zobaczyć to wojsko - element ludzki przedstawiał się dobrze. Żołnierze dobrze wykarmieni i wysocy, porządnie umundurowani biwakowali nad Wilią, niedaleko górki z figurą Matki Boskiej. Górka ta słynna z wiersza Adama Mickiewicza "Powrót Taty". Przysłuchiwaliliśmy się ich smętnym pieśniom i całkowicie obcej mowie, z której nic nie rozumieliśmy, chociaż mieszkaliśmy blisko 20 lat w obecnej ich stolicy. Poprosto ani Litwini nie byli widoczni ani ich mowa słyszana przez całe dwudziestolecie okresu międzywojennego w Wilnie. Inaczej było z Żydami, którzy swą liczebnością przewyższali znacznie inne mniejszości narodowe. Tak wyglądało wkroczenie Litwinów do Wilna. Nie było żadnych manifestacji ani protestów - nie było też amatorów do entuzjastycznego ich powitania. Sklepy zaczęły się powoli wypełniać towarami, ale my nie mieliśmy litewskich pieniędzy. O pracę też było bardzo trudno. Zwolniono Polaków z zajmowanych stanowisk, tłumacząc nieznaną języka litewskiego w stolicy Litwy. Wymieniono nam 50 zł na lity - i na tym koniec. Pozbawieni pracy i powracający z rozbitych armii wojska polskiego zmuszeni byli podejmować się najcięższych ~~robot fizycznych~~ prac i robót fizycznych dla utrzymania się przy życiu. Niektórzy z nas poszli do wyrębu lasów, do rąbania drzewa. Matka moja utrzymała swoją ~~przez~~ posesję na poczcie, gdyż znała język litewski - co dla mnie było wielkim zaskoczeniem. W grudniu 1939 r. po jednym trymestrze nauki Litwini postanowili zamknąć naszą polską uczelnię - na nic się nie zdały nasze prośby i pertraktacje. Studenci wyższych lat mogli kończyć naukę w Kownie, ale na taki wyczyn mogli sobie pozwolić tylko dobrze sytuowani Polacy. Litwini nie przyszli do Wilna jako przyjaciele. Czepiali się Polaków jak tylko mogli. W kościołach dochodziło do spięć a nawet ordynarnych bójek. Nie było podziału na msze litewskie i polskie. Polacy śpiewali po polsku a Litwini starali się nas przekrzyknąć. Po jednej takiej mszy św. przed kościołem św. Kazimierza doszło do bójki między Polakami i Litwinami. Do Wilna coraz więcej napływało ludności litewskiej. Litwa musiała uruchomić wszystkie instytucje stołeczne, zatrudniając w nich Litwinów i zwalniając Polaków. Sytuacja stawała się krytyczna. Prześladowani przedtem przez Bolszewików a obecnie przez Litwinów, rozważaliśmy wielokrotnie, jak to mogło się stać, że Polska taka silna, złączona sojuszami wojskowymi z dwoma mocarstwami, które miały w razie napaści na nasz kraj, wystąpić zbrojnie przeciw agresorowi, tak szybko została pobita i straciła swój byt państwowy, nie wiadomo na ile lat. Znowu wróciły czasy rozbiorowe. Rozczarowanie było olbrzymie. Winiliśmy przede wszystkim wojskową generalicję, że nie stanęła na wysokości zadania, a nade wszystko marszałka Edwarda Śmigłego Rydza. Słuchając jedynie dostępnej radiostacji bolszewickiej Mińsk, utwierdzaliśmy się w swoich błędnych osądach. Wmawiano w nas, że musiała być jakaś haniebna zdrada i teraz musimy być zdani na łaskę lub niełaskę okupantów. Zdrada była - wszak my pierwsi przyjęliśmy na siebie potworne uderzenie przeważających sił hitlerowskich Niemiec a obiecujący współudział w działaniach kraje nie przyszły z pomocą w ustalonych terminach.

Po pierwszym oszołomieniu zaistniałej sytuacji i narastającym niedostatku materialnym, Polacy zaczęli się samoorganizować. PCK zorganizowało pomoc dla najbardziej potrzebujących - wydawano ~~skąd~~ gorące posiłki, z których korzystali przede wszystkim ~~z terenów objętych walkami~~ uchodźcy, z terenów objętych walkami, uciekinierzy z terenów zajętych przez wojska ~~skąd~~ radzieckie, skąd wywożono na Sybir "przeciwników" wyzwalających wojsk radzieckich" oraz najuboższa ludność wileńska. Uruchomiono polskie teatry. Występowali w nich tacy znamienici artyści jak Hanka Ordonówna i Ludwik Sempoliński - oboje uciekinierzy przed Niemcami. Wilno powoli zewnętrznie przybierało charakter litewskiego miasta. Usuwano znaki polskie, gdzie to można było zrobić. Byliśmy bez gazet i radia. W mieście atmosfera była napięta ale i Litwini też nie mogli się czuć gospodarzami we własnym kraju. Bolszewickie wojska ~~rozbiły się~~ rozbiły się wszędzie zupełnie niekontrolowane. Mieli do tego pełne prawo, gdyż za bazy sowieckie na terenie Litwy otrzymali Wilno z Wileńszczyzną. Ile było tego wojska w tych bazach wiedzieli tylko ich właściciele. Polacy nie tracili ducha. Uważali ten okres za czasową okupację. Wojna przecież się nie skończyła i pomimo szykan litewskich i obecności ich policji, w operetkowych mundurach, czuli się, ~~u siebie~~ że są u siebie, Litwini - to obcy przybysze. Czekałiśmy na francusko-angielską ofensywę, która miała rozstrzygnąć losy wojny na naszą korzyść. Francja (z linią Maginota) to nie Polska wstawialiśmy sobie. Ona pokaże światu, że nawet taka duża potęga niemiecka nie oprze się armii sprzymierzonych. Wtedy zrozumieliśmy, że Polska była małym i słabym państwem i że już nigdy nie wrócimy do potęgi państwowej Jagiellonów, czy Batorego. Życie w Wilnie pod okupacją litewską stawało się coraz cięższe. Nieopuszczani do godziwej pracy zarobkowej przez "smietonowskie" władze coraz więcej ludności korzystało z bezpłatnych obiadów PCK, chwytano się najcięższych prac fizycznych dla zdobycia pieniędzy i wyprzedawało wszystko co miało jakąkolwiek wartość - ażeby przetrwać. Z nasłuchów radia bolszewickiego mogliśmy wnioskować, że przyjaźń litewsko - sowiecka długo nie potrwa. Podawano tam co rusz, że Litwini nie przestrzegają zawartych umów, gwarantujących bezpieczeństwo żołnierzom armii czerwonej. Zarzucano w radio i prasie, że Litwini są niewdzięczni, że są wrogo nastawieni do sowieckich obywateli, którym przecież zawdzięczają Wilno wraz z ziemiami, otaczającymi to miasto. My w duchu cieszyliśmy się z tego. Nie ma nic lepszego, kiedy nasi wrogowie skaczą sobie do oczu. Nie rozumieliśmy grozy sytuacji. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ponowne uchwycenie władzy na Litwie przez bolszewików i komunizujących się Litwinów, grozi Polakom o wiele większym zagrożeniem niż sama okupacja litewska. Nic nie słyszeliśmy o losach Polaków zamieszkujących 2 obwody autonomiczne polskie w ZSRR, pod nazwami: "Marchlewszczyzna" i Dzierżyńszczyzna". Ciasny but litewski coraz bardziej ugniatał polską nogę i dlatego każda zmiana wydawała się nam być znośniejszą. Przyszło lato 1940 r. Ku naszemu zdziwieniu, radio podało, że ruszyła ofensywa nie francusko - angielska a niemiecka. W szybkim tempie zostały rozbite dywizje belgijskie, holenderskie i wreszcie francuskie. Padł Paryż i nastąpiła kapitulacja Francji. Część rozbitej armii angielskiej uratowała się przesiadając z czołgów na statki w Dunkierce. To był dla nas Polaków, odciętych kordonem granicznym od reszty Polski czyli ~~czyli~~ t. zw. Generalnej Guberni okropny cios. Dwie rzeczy wtedy zrozumieliśmy od razu: że wojna potrwa długo i że Polska nie była taka słaba i źle dowodzona jej armia, jak to nam wmówiła propaganda litewska i bolszewicka. Musieliśmy więc jakoś przystosować się, a zaczęliśmy to robić od nauki języka litewskiego, bo wszystkie urzędy stały się obcojęzyczne. Konflikty litewsko - sowieckie powtarzały się. Latem 1940r. armia czerwona na rozkaz Kremla opanowała całą Litwę. Taki sam los spotkał Łotwę i Estonię. W ten sposób ZSRR powiększył znowu swoje terytorium, kosztem małych i słabych państw. Żeby usprawiedliwić i zalegalizować ów podbój ogłoszono, że ludność winna przegłosować w wolnych wyborach, czy chce przyłączenia Litwy do

ZSRR. Rosja miała już doświadczenia nabyte na wschodnich terenach Polski - gdzie również zmuszono ludność do głosowania za przyłączeniem do ZSRR. Rozpuszczono przy tym pogłoski, że będą stawiać pieczętki w dowodach tożsamości lub w kartach obcokrajowców, jakie mieli Polacy. Kto nke będzie miał pieczętki ten zostanie wywieziony na Sybir. Nic też dziwnego, że głosowanie wypadło nadzwyczaj pomyślnie dla ZSRR. Nikt nie odważył się nie pójść do głosowania. Każdy chciał mieć tę pieczętkę, która miałaby strzec przed aresztowaniem i wywiezieniem na wschód. Zgłoszenie się do głosowania było jednoznaczne, że wyborca pragnie przyłączenia Litwy do ZSRR. Po takiej szeptanej propagandzie nie było nic dziwnego, że wszyscy gremialnie stawili się do urn, a Litwini byli pierwsi, chociaż ciężko ~~to~~ przeżywali to "wkroczenie armii czerwonej". Sam słyszałem jak sąsiadka Litwinka skarżyła się swoim krewnym, że jedną mieli kobyłkę (chodzi tutaj o godło państwowe Pogoń) i tę im zabrano. Znikła Litwa, a z nią wojsko i policja litewska.. Ponownie gwałtownie zaczęły ubożać sklepy i to wszystkich branż. Wracała sowiecka bieda i szarzyzna. Zaczęła wychodzić polskojęzyczna gazeta "Czerwony Sztandar", w którym poza kłamstwami, propagandą i szkalowaniem II Rzeczypospolitej nic ciekawego nie było. Język rosyjski stał się językiem państwowym. Jesienią przyjęto ponownie na studia Polaków, nie pytając o znajomość języka litewskiego czy też o narodowość. Zgłosiłem się i ja celem kontynuowania studiów medycznych, a miałem przewagę nad miejscowymi studentami, gdyż całkiem nieźle opanowałem język litewski, który okazał się językiem łatwiejszym do przyswojenia niż mi się wydawało. Gramatyka i składnia była bardzo podobna do polskiej. Ustały incydenty i zatargi między Litwinami a Polakami. Ci pierwsi widocznie mocno się przestraszyli bolszewików, a ta Litwa już nie była taką ich Litwą a częścią ZSRR. Poczuliśmy się znowu pełnoprawnymi obywatelami tego regionu i Wilna. Nie wszyscy Litwini pogodzili się z tym stanem rzeczy. Do nich należała elita inteligencka litewska a szczególnie profesorowie. Oni to z początku roku akademickiego ogłosili, że będą egzaminować wyłącznie w języku litewskim, ale działacze komsomołu i NKWD, (w dużej mierze byli wileńscy Żydzi) wytłumaczyli im, że skończyły się czasy jednego języka, gdy większość mieszkańców posługuje się innym, nie znając języka nowo-powstałej republiki. W ślad za tym wyszło rozporządzenie Rektora uniwersytetu, że kolokwia i egzaminy można składać w każdym języku, jaki student sobie wybierze. Trzeba zaznaczyć, że była to niechęć Litwinów do Polaków, bo jak się potem okazało wszyscy profesorowie litewscy znali język polski. Znalazło się jednak wśród Litwinów dość "czerwonych", żeby dalej ~~opracowywać~~ opanowywać urzędy, miejsca kierownicze w zakładach pracy, które w Wilnie się ostały, po pierwszej grabieży. Nie było już nowoczesnej fabryki aparatów radiowych "Elektrit", która w całości została przetransportowana do Mińska i wyrabiała te same aparaty, tylko pod inną nazwą. Pracowników fachowych z tej fabryki wywieziono razem ze sprzętem. Wiem o tym, gdyż nasz sąsiad był pracownikiem, zatrudnionym w tej fabryce, który uniknął wywózki, gdyż uciekł z Wilna do swoich krewnych na wsi. NKWD szukało go bezskutecznie w miejscu zameldowania. X

Ja zostałem przyjęty na 1 rok studiów medycznych. Przyjęci zostali na studia studenci USB, po zamknięciu uczelni przez Litwinów w grudniu 1939r. oraz spora grupka studentów litewskich. W otoczeniu moich kolegów przeważali Żydzi i Rosjanie i Białorusini, a byli to ludzie najbardziej podatni na skomunizowanie. Nic też dziwnego, że koledzy z gimnazjum unikali mnie - był to swoisty ostracyzm towarzyski, ale mnie to nie przeszkadzało. Moi przyjaciele próbowali nawet mnie wciągnąć do komsomołu, ale nigdy nie należałem do tej organizacji. Pamiętam, że byłem na jednym zegraniu tej organizacji, na który zostałem zaproszony przez mego przyjaciela Jurka Podobieda i jego brata Mikołaja, którzy mieli być przyjęci na tymże zebraniu na członka komsomolskiej organizacji. Ale kiedy przewodniczący zebrania zapytał obu braci czy wierzą w Boga - otrzymali twierdzącą odpowiedź, że tak i sprawa przyjęcia upadła. Wierzących w Boga nie chcieli przyjąć. Żydzi łatwiej się wy-

b  
ywali swej wia

bywali swejwiary i nic dziwnego, że dużo ich było ~~xxx~~ w szeregach Kom-  
somołu. Uniwersytetu polskiego nie było. Studiowaliśmy na litewskim,  
a wybitni polscy fachowcy, albo byli bez pracy, albo zajmowali bardzo  
liche stanowiska. Utalentowany anatom dr. Sylwanowicz pracował jako  
młodszy pomocnik młodego asystenta Litwina, bez żadnych szans na awans.  
Asystentem przy Katedrze leninizmu - marksizmu był znany w Wilnie ko-  
munistyczny działacz Jędrychowski. Jego zwierzchnikiem był Rosjanin  
prof. Kuźniecowa. Kiedy Jędrychowski nam tłumaczył o zaletach sowieckiej  
konstytucji, Polacy i Żydzi zaatakowali go pytaniami, dlaczego nie ma  
wykładów w języku polskim. Przecież jest nas większość, nie rozumieją-  
ca po litewsku, a profesorowie polscy są betrobotni a znający swój fach.  
Wtedy nasz marksista, nieco zmieszany, zaczął mówić coś o prestiżu  
wszechnicy litewskiej i że Wilno jest obecnie stolicą Litwy i że miało-  
by to przykry oddźwięk wśród Litwinów. My natomiast, stanowiący ogrom-  
ną większość, chociaż konstytucja stalinowska gwarantowała nam prawo  
do nauki w zrozumiałym języku, musieliśmy się pogodzić z tą sytuacją.

Zbliżały się wybory do Rady Najwyższej ZSRR. Pismem Rektora studenci  
zostali zmuszeni do zgłoszenia się w komisjach wyborczych, celem uczest-  
niczenia aktywnego w przeprowadzeniu wyborów. Plotka znowu głosiła, że  
kto nie zgłosi się do pracy agitacyjnej straci prawa do stypendium.  
Wbrew więc własnym chęciom braliśmy aktywny udział w tej wyborczej  
farsie. Nie były bowiem to wybory, gdyż było dwóch kandydatów partyj-  
nych: Pozdniakow i Bołtruszka i żadnych innych - i tych dwóch będą wy-  
brani, bez względu na to, ile głosów padło na tych kandydatów.

Wielokrotnie w terenie nam zwracano uwagę, że to niewybory, bo za mało  
~~KANDYDATÓW~~ kandydatów a kandydaci są tylko partyjni. Padaly też zarzuty,  
że nikt tych kandydatów nie zna - więc skąd się wzięli ci "kandydaci".  
Gdy zwróciliśmy się z tymi wątpliwościami do męża zaufaniy, a tym był  
jakiś obywatel sowiecki z Moskwy (nie Litwin), wytłumaczył nam, że  
trzeba mówić ludziom, że kandydaci zostali zgłoszeni i zaakceptowani  
przez załogę dużych zakładów pracy. Wikantnym było to, że niektórzy  
wyborcy byli pracownikami tych zakładów i nigdy nie wybierali tych  
kandydatów. Lecz terror agitacyjno - propagandowy zmusił ludzi do gro-  
madnego głosowania. Całe te wybory były podszyte strachem. Wyborcy dos-  
konale zdawali sprawę, że z bolszewikami nie ma żartów. - Praca w taj-  
dze czy w katorżniczych kopalniach nikomu się nie uśmiechała. ~~Wakxxx~~  
Tak więc wybory przeszły doskonale, frekwencja około 100%, a my wró-  
ciliśmy do swoich codziennych zajęć. Długo jeszcze rozpamiętywaliśmy  
odwagę i determinację pojedynczych osób, które miały odwagę odmówić  
pójścia do głosowania. Był między nimi jeden Książ z ulicy Chocims-  
kiej, który nawet nie chciał rozmawiać z agitatorami a nawet zagroził,  
że poszczuje ich psami. Co z nim się później stało - Bóg raczy wiedzieć.  
Zrozumieliśmy wtedy, że w totalitarnym systemie nie ma ludzi bezstron-  
nych i neutralnych. Ci bezstronni - to byli ludzie przeciw ustrojowi.  
Gdy możesz być odkryty jako wróg tego ustroju, to wtedy tak postępp-  
jesz tak, jakbyś był za bolszewizmem, ale gdy ci nic nie grozi, to  
naogół wszyscy byli przeciw. Jeżeli chcesz przetrwać - to musisz się  
upodobnić do swoich panów, bo od nich zależało twoje życie, kariera  
i los twojej rodziny. Mniej lub bardziej cynicznie głosiło się poglądy  
które kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem i prawdą. Ale takie było życie.  
Ludzie koniunkturalnie zmieniali narodowość polską na inną. Nazwiska  
o brzmieniu polskim n.p. Suchecki ~~n.p. Suchecki~~ zmieniali na Sausaitis  
(sausas to suchy po litewsku). Ukrywali swoje zapatrywania religijne,  
przestawali chodzić do kościoła. Nie uniknęła dewastacji też sfera ży-  
cia politycznego. Wszyscy musieli mieć oficjalnie jeden światopogląd-  
oczywiście marksistowski i nad tym czuwał profesor leninizmu- marksiz-  
mu- najważniejsza figura na uniwersytecie.

Za moich czasów był to rodowity moskwiczanim prof. Kuźniecowa. Egzamin  
z tego przedmiotu był dziecinnie łatwy, tylko trzeba było zrozumieć  
intencję profesora a odpowiedź na najbardziej podchwytliwe pytania  
same się formowały.

Egzaminy z innych przedmiotów były dla Polaków trudniejsze. Litewscy profesorowie nie byli neutralnymi sędziami naszych wiadomości i poprzeczkę dla nas stawiano wyżej, niż dla naszych kolegów litewskich. Nieprzychylność ta objawiała się już na początku egzaminu, gdy profesor odbierał z rąk studenta indeks i zapoznawał się z jego nazwiskiem. Pytano n.p. moją koleżankę dlaczego w indeksie nazwisko brzmi Sadowska a nie Sadauskaite, dlaczego Sidorowicz a nie Sidaravicius i t.d. Oczywiście musiało to peszyć polskich studentów. Ja osobiście zdawałem egzaminy w języku litewskim i czułem, że jestem lepiej odbierany przez egzaminującego, niż moi koledzy, zdający po polsku. Życie studenckie toczyło się niby normalnie, ale wyczuwało się, że na coś się zanosi. Przed domami Polaków zatrzymywały się ciężarówki, na których widziano czekistę z karabinem i najczęściej cywilnego Żyda z czerwoną opaską na ramieniu. Być może był on przewodnikiem, który wskazywał dla NKWD kogo należało aresztować i wywieźć w tajgę. Widziano też aresztowanych ludzi, często z małymi dziećmi i podręcznym bagażem. Zwykle wywózki i areszty odbywały się nocą - wiosną 1941r. również we dnie i to w wielkim pośpiechu. Każdy to mógł zaobserwować i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Ludzie zaczęli się ukrywać, zmieniać miejsca zamieszkania, nie nocować w domu, by uniknąć aresztowania. Pogłoski chodziły, że NKWD wywozi przede wszystkim uciekinierów z G.G. ale rychło dowiedzieliśmy się, że wywożą ludzi coś znaczących w życiu narodu polskiego. Wywożono więc najbardziej wartościowy element naszej inteligencji. Nie byli to aktywni wrogowie komunizmu. Była to okropna strata dla nas i narodu polskiego. Znaczenie i okropności, które spotkają ich w głębi rosyjskiego imperium, poznamy znacznie później i to chyba nigdy do końca. Na jak straszną poniewierkę byli ci wszyscy wywożeni do łagrów, od swego szwagra Feliksa Sadowskiego, który po aresztowaniu i więzieniu w Grodnie i Mińsku, znalazł się w tajdze, niedaleko Workuty. Opowiadał mi, że kiedy z głodu i wycieńczenia zaczął puchnąć a śmierć zajaśniała mu w oczy, siekierą dokonał samooka leczenia podudzi, podudzia, dzięki czemu znalazł się w szpitalu i uratował sobie życie. Ze społeczeństwa sowieckiego lekarze w szpitalu nie ztratili swego człowieczeństwa i w miarę po ludzku traktowali tych nie szczęśliwców. Tak więc sytuacja w mieście stawała się napięta i ponura. Zaczęto przebąkiwać, że Hitler szykuje się do rozpoczęcia swojej dywizji do rozprawy totalnej ze swym najlepszym sojusznikiem - Stalinem. Stąd był ten pośpiech w wywożeniu ludności polskiej. Ale to były szeptane plotki., które niedługo miały się zamienić w rzeczywistość. Ludzie znowu chcieli zmiany, licząc na to, że im szybsze będą zmiany, tym nasza sytuacja będzie lepsza, chociaż wszyscy wiedzieli, że przyszły okupant będzie nie mniej groźny od obecnego. Zdawano sobie sprawę, że zmiana może przyjść tylko w drodze wojny, między dotychczasowymi przyjaciółmi, Związkiem Radzieckim a Niemcami i o nią się modlili, gdyż każda stabilizacja utwierdzała nas w niewoli. Pogłoski o przyszłej wojnie stawały się coraz częstsze. Ośmieliłem się je powtórzyć pewnemu oficerowi Armii Czerwonej, który wynajmował u nas pokój. O mało tego nie przepłakałem wolnością, gdyż ten oznajmił mi, że przyjaźń między Bolszewią a Niemcami jest tak silna, że nic nie grozi temu sojuszowi. Oznajmił, że mnie nie aresztuje, za wrogą propagandę, tylko dlatego, że mieszka u nas i uważa nas za swoich przyjaciół. Zrozumiałem, że trzeba być ostrożniejszym w wypowiedziach swoich sądów - nawet wobec ludzi którzy wydawali się przyjaźnie nastawieni do Polaków. Oficer ten był z pochodzenia Gruzinem i stąd wynikała pewna postawa myślenia, że jest to człowiek bezpieczny i krzywdy nam nie wyrządzi. Chyba musiał wiedzieć, że Polacy sympatyzują z Gruzinami, których historia kraju, podobna jest do naszej historii. Oświadczył mi ten oficer, że gdyby miała być wojna, to nastąpiłaby ogromna koncentracja sprzętu wojskowego lądowego i powietrznego. Niebo byłoby czarne od samolotów, od myśliwców do ciężkich ośmiomotorowych transportowców. Inaczej jednak wyglądało to niebo, niż przedstawił to ów oficer, po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Ale tymczasem była ~~okropna~~ ~~strata~~ ~~okropna~~ ~~strata~~ okropna strata obu totalitarnych mocarstw, świadcząca

skazani

przyjaźni

cych sobie olbrzymie usługi różnego rodzaju. My zdawaliśmy końcowe egzaminy. Zbliżały się wakacje, które zawsze są tak upragnione przez studentów. W czasie tych wakacji zauważyliśmy wzmożone ruchy wojsk sowieckich. Wycofywano ciężkie działa, ciągnięte przez powolne traktory, na wschód. Nasiliły się też wywózki i aresztowania Polaków. Dawało to niektórym z nas podstawy do myślenia, że coś się zmieniło w tych układach sowiecko - niemieckich i to na gorsze. Dzień 21 czerwca 1941 r. wyjaśnił wszystko. Wybuchła przewidywana wojna Stalina z Hitlerem. Pierwszy alarm przeciwlotniczy zastał mnie na łódce na środku rzeki Wilii, gdy przeprawialiśmy się z moją przyszłą żoną Ireną Sadowską, gdyż w tym miejscu nie było mostu. Korzystaliśmy zawsze z usług przewoźników, którzy przed wojną za 10 groszy a teraz za 20 kopiejek przeprawiali chętnych na drugi brzeg rzeki u stóp wileńskiej elektrowni. Prędko, po przybiciu do brzegu, skryliśmy się pod drzewami, żeby lotnicy niemieccy nie zauważyli nas i nie ostrzelali z karabinów maszynowych. Słyszeliśmy głuchoe detonacje i wybuchy, przemieszane z warkotem samolotów. Szczęśliwie dla nas bombardowano urządzenia kolejowe i lotnisko na Porubanku a nie naszą elektrownię, koło której byliśmy ukryci. W kilka godzin po tym radio moskiewskie ogłosiło całemu światu, że wybuchła wojna rosyjsko - niemiecka, że hitlerowskie zdradzieckie wojska napadły na Związek radziecki. Cieszyliśmy się jak dzieci. Żudziiliśmy się, że nasi śmiertelni wrogowie zniszczą się wzajemnie, (tak jak to było w 1914-18) a my będziemy mieli szansę odbudować naszą niepodległość przy pomocy Anglii. W mieście, po wycofaniu się regularnych oddziałów armii czerwonej pojawili się cywile - Litwini z automatami i białymi opaskami na rękawach. Byli to członkowie jakiejś organizacji proniemieckiej, którzy brali teraz odwet za okupację Litwy na rodzinach oficerów, które nie zdążyły się ewakuować na czas z powodu braku transportu. Mówiono o wielkiej masakrze, dokonanej przez tych Litwinów, że zabijano kobiety i dzieci. Miało to się dzieć w blokach mieszkalnych przy ulicy Subocz. Wśród tych Litwinów zauważyłem również swego kolegę ze studiów medycznych - Sartataviciusa. Bombardowano Wilno w dzień i w nocy. Naprawdę było niebezpiecznie pozostawanie w mieście. Na kilka dni uciekliśmy do Jerozolimki, odległej od miasta o 5 km., gdyż fama głośno głosiła, że Niemcy chcą dokonać na miasto potężnego nalotu. Ale takiego dywanowego nalotu nie było. Miasto było opuszczone przez Rosjan w nadzwyczajnym pośpiechu, porzucających sprzęt wojskowy i rodziny. W Wilnie znowu było bezkrólowe.. Trwało ono bardzo krótko. Do Wilna wkroczyli Niemcy. Bolszewicy próbowali bombardować Wilno z powietrza, ale był to żałosny widok nieporadności tych zamierzeń. sowieckie samoloty spadały na naszych oczach na ziemię, nie mogąc wykonać, powierzonego im zadania. Przyglądaliśmy się tym walkom powietrznym razem z moim przyjacielem Andrzejem Ciemnińskim, który, będąc na Litwie, cudem uniknął wywózki na wschód, gdy cała jego rodzina została aresztowana i wywieziona ~~xxxxxx~~ do Kazachstanu. Na Litwie Andrzej pracował po ucieczce przed bolszewikami z majątku Kwiatkowce koło Subotnik. Kiedy czekali przyjechali do majątku Litwini ostrzegli Andrzeja, żeby nie wracał do domu, gdyż cała jego rodzina (rodzice i siostra) została aresztowana i tylko czekają na jego powrót. To mu wystarczyło, by zmienić kierunek jazdy. Mając tylko konia i wóz, ruszył w kierunku Wilna. Koło Mejszagoty zostawił u jakiegoś gospodarza konia i wóz a sam pieszo (ponad 30 km.) przyszedł do mnie - do Wilna. Po kilku dniach pobytu u nas poszliśmy po tego konia. Szkoda było zostawić takie dobro obcym ludziom. Po odzyskaniu konia i wozu i powrocie do Wilna Andrzej postanowił wracać do swego majątku i namawiał mnie, żebym z nim pojechał. Niestety ja już nie mogłem. Szykowałem się do zawarcia związku małżeńskiego ze swoją koleżanką z drugiego roku medycyny, pochodzącą ze znanej rodziny wileńskiej Sadowskich. Ojciec jej a mój teść (już nieżyjący) - pułkownik armii carskiej, ciotka - Stanisława Sadowska - przezacna matrona polska, pracownica biblioteki uniwersyteckiej, zastępująca moją żonę matką, którą utraciła, mając 8 lat. I ostatni już ze starszego pokolenia też nieżyjący stryj ks. prałat Kapituły wileńskiej.

Starsi z tej rodziny pomierali naturalną śmiercią, ale młode pokolenie zapłaciło dużą ofiarą za przynależność do Polski. Jarosław Sadowski p.por.rezerwy zginął na froncie 9 września 1939r. pod Skuszewem koło Wyszkowa ( pochowany w zbiorczej mogile w Kamieńczyku). Średni brat Feliks dostał się do niewoli sowieckiej i poprzez lagry workuckie i armię Andersa osiedlił się w Anglii w Newlin, koło Penzance. Najstarszy brat Jan zginął w Oświęcimiu, zesłany tam z powodu przynależności do AK. Wreszcie najmłodszy brat Bogusław - został zabity jako partyzant AK przez bolszewickiego partyzanta koło Baranowicz na Wileńszczyźnie i nawet nie wiemy, gdzie został pochowany. Z żalem więc rozstawałem się z Andrzejem - ale nie widziałem tam możliwości pracy - nie znałem się na rolnictwie. Myślałem, że w mieście łatwiej przeżyję i jakoś ustabilizuję. Wkroczenie Niemców do Wilna odbyło się bez żadnych uroczystych powitań. Niemcy w Wilnie nie bawili się w operetkowe widowiska jak bolszewicy. Wiedzieli, że wkraczą do kraju, gdzie ludność podbita ( piszę tu o ludności polskiej)patrzy na nich z nienawiścią w oczach i tylko czeka na sposobność, żeby wziąć na nich odwet. Armia niemiecka świetnie się reprezentowała. Wojsko czyste, trzeźwe, dobrze wyposażone i wykarmione, patrzące na wszystkich z góry, Buta niemiecka była wyraźnie okazywana. Nie liczyli się z nikim. Rzeczywiście mieli z czego być dumni - prawie cała Europa podbita a teraz gromione na potęgę największe mocarstwo świata Z.S.R.R. Wyglądało na to, że nikt nie potrafi się oprzeć ich sile. Kiedyś, z przyjacielem Dymitrem Błagowieszczęńskim, poszliśmy oglądać pędzone kolumny jeńców sowieckich. Szli ósemkami, brudni, nie ogoleni, głodni z poszarzonymi twarzami. Siedzieliśmy na żelaznych poręczach, ogradzających brzeg Wilii a oni szli, szli i nie widać było końca tej kolumny. Wtedy zwątpienie wstąpiło w nasze serca. Przyszłość zaczęła się rysować bardzo ponuro. Myśleliśmy, że trudniej będzie Niemcom zwyciężać ostatniego przeciwnika w Europie - kto oprze się tej złowrogiej sile niemieckich żołnierzy? Czy Anglia sama da radę? Z tymi myślami wróciliśmy do domów.

4 sierpnia 1941 r. ożeniłem się. Ślubu, w kościele Sw. Jana, udzielił nam Ks. Rybałtowski - Białorusin, zamordowany później gdzieś na naszym wschodnich kresach wschodnich. Po ślubie, zamieszkaliśmy w domu mego teścia przy ulicy Dar 6 - pod górą Belmont. Dom ten nie był zamieszkały, ponieważ szczęśliwie, ciocia wydzierżawiała go polskiemu przedszkolu, które zostało przez władze litewskie zlikwidowane. Objęliśmy w posiadanie 5 pokoi z kuchnią i łazienką. Sami zajęliśmy 1 pokój ( salon o powierzchni 36 m<sup>2</sup> ) i to nam wystarczyło. Resztę mieszkania wynajęliśmy rodzinie p. Tapperów, uciekinierom z prowincji, oraz p. Trzeciakom, również uciekinierom (z majątku). Głową domu p. Tapperów był p. Piotr, były kapitan W.P. Przeznaczony czkowiek, z którym można było rozmawiać na wszystkie tematy godzinami. Utrzymaniem tej rodziny trudniła się pani Janina - żona p. Piotra, były dwie córki i dwóch synów. Zajmowali oni trzy pokoje. Państwo Trzeciakowie z dwojgiem dzieci zamieszkali w jednym pokoju - raczej byli zamknięci w sobie, kontakty były nikłe. Mieszkali krótko, wrócili do opuszczonego przy bolszewikach majątku. Później dowiedzieliśmy się o trzecim synu P. Tapperów, Mikołaju, który był księdzem, urzędującym w Ejszyszkach. Jego to w szczególności dotknęła akcja terrorystyczna organów NKWD po powrocie czerwonej armii w lipcu 1944r. Aresztowany równocześnie z ojcem Piotrem i wywiezieni do ZSRR. Nigdy już nie wrócili do Polski. Zmarli obydwaj w niewyjaśnionych okolicznościach. Ich natomiast starszy syn Jerzy, podchorąży AK, został w 1944r. postrzelony w rękę w obławie przez czekistów. Uciekł im i leczył się u nas w domu, na Darz. Przychodził do niego wybitny specjalista chirurg dr Żemojtel i wyleczył tę rękę. Wszystko to było robione w wielkiej tajemnicy. Dzięki temu Jurek uniknął losu ojca i brata i postarał się szybko wyjechać z Wilna do Polski, zaciągając się do armii Berlinga. Podczas okupacji niemiecko - litewskiej walka o byt była bardzo ciężka i niszcząca nasze siły żywotne. Mnie chciano zmobilizować na przymusowe roboty w Niemczech, ale dzięki Dyrektorowi biblio-



teki uniwersyteckiej p. Łysakowskiemu, wielkiego serca człowiekowi i patriotcie, który pracując w Arbëtsamcie, przełożył potajemnie moje papiery z grupy robotników, mających być wywiezionych do Essen - do grupy robotników, przeznaczonych do robót w Wilnie. Roboty te prowadziła "Baugruppe Giesler" w Nowej Wilejce - rozbudowę dworca kolejowego i inne przymusowe prace. Zabieg ten wymagał wielkiego ryzyka i odwagi ze strony dyr. Łysakowskiego. Robotę tę wykonał dzięki wstawiennictwu naszej ciotki Stanisławy Sadowskiej, która dobrze знаła swego b. przełożonego. Ci dwaj ludzie sprawili, że nie zostałem wysłany na roboty przymusowe do Niemiec, a zostałem przeniesiony ( bez wiedzy Niemców ) do rozbudowy węzła kolejowego w Nowej Wilejce ( 9 km. od Wilna ). Obok Polaków zatrudniano na tej budowie jeńców Sowieckich, Żydów i Austriaków. Oczywiście największa wydajność pracy była u Polaków, którzy byli w najlepszej sytuacji bytowej. Jeńcy sowieccy na naszych oczach umierali z wycieńczenia i z niedożywienia. Gdy wydawano zupełną obiadową, to przy kotle działy się okropne sceny - strażnik niemiecki musiał odpędzać kolbą karabinu, wygłodniałych jeńców, od kotła. Nie mogliśmy na to patrzeć i staraliśmy się uciec jak najdalej od tego miejsca. Kiedy pracowali bliżej nas, to oddałem swe śniadanie tym jeńcom. Gdy między jeńcami wywiązała się bójka o ten chleb, Niemiec zaczął ich bić a później przybiegł do nas i pierwszego z brzegu Polaka uderzył kilkakrotnie, drewnianą pałką, obitą skórą. Innym razem spuściłem z nasypu w dół bułkę nadziewaną mięsem i byłem zdumiony, gdy grupa jeńców podzieliła tę jedną bułkę na kilkanaście porcji, bez żadnych kłótni. Praca na budowie była ciężka. Czasem nosiliśmy przez cały dzień cemenz w 50 kg. workach z wagonu do magazynu. Czasem kopaliśmy wielkie rowy lub też przenosiliśmy na ramionach deski, bale i t.p. Z czasem doszliśmy do wniosku, że nie można za bardzo się wysilać. Dawali nam przykład Austriacy, zmobilizowani do organizacji Todta. Gdy tylko zniknął nadzorca Niemiec, oni przerywali pracę, wołając do nas " langsam ". Czasem, wykręcając się od roboty, we trójkę po jednej długiej desce i nieśliśmy je na drugi koniec budowy, często robiąc przystanki, schowani między wagonami przed wszędobylskimi nadzorcami. Gdy taki się zbliżał, to natychmiast każdy z nas chwycił deskę na ramię i szedł przed siebie, a Niemcy nawet nie spodziewali się, że ich kłamiemy. Niekiedy wieszaliśmy nasz numerek rano, a wieczorem odbieraliśmy go, ~~wieszaliśmy~~ nie pokazując się na budowie. Siedzieliśmy w pobliskim lesie, grając w karty, czekaliśmy na przerwę obiadową. Ale takich spryciarzy było mało. Reszta musiała inaczej sabotować tę pracę, przeważnie zwalniając tempo pracy, lub robiąc dłuższe przerwy, gdy nadzorca się oddalił. Niemcy wkrótce zrozumieli, że wydajność dniówkowego, przymusowego robotnika, jest bardzo niska i zaczęli stosować pracę akordową na wielką skalę. Wyznaczali odcinek pracy, do zrobienia na dany dzień, po zrobieniu którego mogliśmy iść do domu a nie obowiązujący dotąd czas pracy od godz. 7 do godz. 17-tej. Praca stała się nie do zniesienia. Postanowiliśmy z kolegami, że porzucimy tę pracę i ukryjemy się. Tak też zrobiliśmy. Później się okazało, że takich dezertów z grupy było przeszło 500. Zaczęły się policyjne poszukiwania. Litewscy policjanci nachodzili nas ale żona podawała, że wyjechałem na prowincję. Jesień była chłodna i głodna. Żyliśmy kartoflami, kiszoną kapustą, olejem lnianym, czarnym i cuchnącym i warzywami zebranych z ogrodu. Warzywa te ratowały nas przed śmiercią głodową. Uprawiając ten ogródek warzywny chwaliłem za pobiegliwość mego nieżyjącego teścia, który kupił ten kawałek gruntu ( 1300 m<sup>2</sup> ) i zbudował dom, w którym teraz mogliśmy jako tako zmieścić się z tak trudnymi warunkami bytowymi. Czasem udawało się kupić koński kiełbasa i była to wtedy duża frajda. Posiadaliśmy też kartki żywnościowe. Papierosy i wódkę kartkową sprzedawaliśmy, poprawiając swój skromny budżet, gdyż za przymusową pracę u Niemców dostawałem storkilka dziesiąt marek, ~~za które~~ za które z trudnością można było kupić kilogram słoniny a resztę poświęcić na wykup artykułów kartkowych. Największe trudności były ze zgromadzeniem opału na zimę, ale od czego był pod bokiem las belmoncki. Niemcy zaczęli go powoli wypikowywać od wsodniej strony - więc ja postanowiłem, też włączyć się do tej roboty,

ale na własny rachunek. Dobrałem sobie dwóch chłopców i pewnej nocy wybraliśmy się na myśli spacer do lasu, żeby ściąć sosnę. Sosny były grube i wysokie. Kiedy po ~~podpiłkowaniu~~ podrabaniu wpnia i podpiłkowaniu z przeciwnej strony rąbania, gdy sosna zaczęła trzeszczeć i przechylać się na jedną stronę - odeszliśmy dalej od niej. Trzaski stawały się dla nas coraz głośniejsze i wreszcie ten huk padającej sosny nas sparaliżował na moment. Myśleliśmy, że ten huk i łomot sprowadzi nam nasze kark całą policję litewską i gestapo. Ale cisza była wkoło i przyszło uspokojenie. Przystąpiliśmy do popiłkowania całej sosny na metrowe odcinki. Do rana uwinęliśmy się z całą robotą i sosna znalazła się w nazwch drewnutniach. Transport z lasu był bardzo prosty. Puszczano się kawałek sosny z wysokiej góry w dół - dalej przetaczało się w poprzeg ulicy ulicy Belmont i znowu w dół do jaru. Najczęściej było pokonać ostatni odcinek, gdyż musieliśmy wtaczać kłody pod górę do naszego ogrodu. Ale strach i radość, że wreszcie mamy drzewo na opał, dodawały nam siły. W dzień spokojnie kończyliśmy piłkowanie i rąbanie drzewa i już nie było strachu.. Niestety, pewnego listopadowego dnia policjant litewski nie zadzwonił do drzwi frontowych, lecz przez otwartą bramkę wszedł do ogrodu i natknął się na mnie. Wylegitymował mnie i okazało się, że on przyszedł po mnie na polecenie dyrekcji "Baugruppe Giesler" Zostałem zatrzymany i doprowadzony na posterunek policji przy ulicy Uniwersyteckiej a po paru godzinach zostałem odkonwojowany przez Litwinów z pistoletami w garściach do centralnego więzienia na Łukiszkach. Początkowo znalazłem się w dużej, ciemnej celi zbiorczej z mnóstwem ludzi. Była to tak zwana "Cyganka". Z niej rozprowadzono, przez łaźnię, do osobowych cel. W łaźni natknąłem się na dwóch gospodarzy z Wileńszczyzny, ktowych plecy były całe sine od pobicia w Gestapo przy ul. Ofiarnej. Zarzucano im ( donos ), że ukrywali broń, ale oni nie przyznali się do niczego i po brutalnym śledztwie i torturach, odesłali ich na Łukiszki. Wreszcie po zdaniu rzeczy osobistych i otrzymaniu ciuchów więziennych, trafiliśmy do swoich cel. Ku memu zdziwieniu wszyscy moi współtowarzysze siedzieli za to samo - za ucieczkę z pracy przymusowej w "baugruppe Giesler". W celi było nas trzech - zaczęliśmy się zastanawiać co z nami poczną? Nikt z nas nie liczył, że wypuszczą nas szybko. Napisy na ścianach celi też nie nastrajały optymistycznie. Jeden odczytałem: "Tu siedziało pięciu członków Armii Krajowej - skazani na rozstrzelanie na Ponarach" - Niech żyje Polska". Jeden z nas - piekarz z zawodu Malinowski twierdził, że nas wywiozą na roboty do Niemiec. Ku mojemu zdziwieniu ja pierwszy otrzymałem paczkę żywnościową. Podzieliłem się nią z współwięźniami i cień nadziei w nas wstąpił, że może nie będzie tak źle. Rzeczywiście - dziesiątego dnia pobytu w więzieniu, zjawił się przedstawiciel firmy budowlanej i zapowiedział natychmiastowy powrót do pracy. Niemcy potrzebowali taniej siły roboczej do rozbudowy depa wileńskiego. Następnego dnia nas wypuszczono, oddając rzeczy osobiste, oprócz złotej obrączki, o której zupełnie zapomniałem, a o którą bezpieczniej było nie upominać się. Wróciłem do domu - do żony i syna. Zaczęła się znowu harówka. Tu ponownie zetknąłem się z Żydami, których też zmuszano do ciężkiej pracy. Pewnego razu, gdy kopaliśmy rów kanalizacyjny, rozpoznałem wśród Żydów, ciągnących na grubym sznurze rurę, swego kolegę studenta medycyny. Z trudnością go poznałem - wychudzony, w podartym ubraniu. Krzyknąłem do niego: co ty tu robisz? Czemu nie uciekasz do lasu, przez cień widziano, że Żydów partiami zaczęto rozstrzeliwać na Ponarach. Litwini rozpuszczali plotki, że jak skończą z Żydami - wezmą się do ~~pak~~ Polaków. Spytałem go, jak może tak biernie czekać na najgorsze? Odpowiedział mi biernym rozłożeniem rąk, gdyż zbliżał się wartownik niemiecki, pilnujący ich, żeby z nikim się nie kontaktowali. To było jakieś zadziwiające, że z taką pokorą było przyjmowane zrządzenie Jehowy, który zesłał im ~~toxi~~ cierpienie za ich grzechy. Pomyślałem sobie, że jax i chyba wszyscy Polacy przeciwstawimy się siłą, gdy będą próby umieszczenia nas w getcie. Ta pokora Żydowska była dla nas niepojęta. Jak się później okazało, niektórzy z Żydów, rozumiejąc co ich czeka - zaczęli uciekać z getta, szukając schronienia wśród Polaków. Dlaczego

tak ciężko było ~~aktywować~~

tak ciężko było ukrywać Żydów? Po pierwsze było rozporządzenie władz niemieckich i litewskich, że za ukrywanie Żydów groziła kara śmierci. Po drugie - ludność polska tak biedna, żyjąca z kartek i polująca sama na żywność, nie była w stanie utrzymać dodatkowych osób. Po trzecie - Wygląd Żydów od razu dekonspirował ich przed obcymi. Po czwarte - nagłe zamknięcie Żydów w getcie, odizolowanie ich od środowiska ~~w którym~~, w którym żyli - od ich polskich znajomych, też nie przyczyniało się do podejmowania takich decyzji. Po piąte - byliśmy zbyt inwigilowani przez tajne i jawne służby bezpieczeństwa podwójnych władz. Owszem mimo takich przeciwności Polacy decydowali się na tak wielkie ryzyko. My sami kilka dni ukrywaliśmy chłopaka żydowskiego, ale gdy aresztowano moją matkę, która ukrywała brata naszego chłopaka, musieliśmy zrezygnować. - zbyt wielkie powstało niebezpieczeństwo dla nas i dla naszych współlokatorów. Odmówiliśmy również stałego pobytu z tychże przyczyn dla dwóch zbiegłych jeńców sowieckich, których przenocowaliśmy i po nakarmieniu i zaopatrzeniu ~~ich~~ w skąpą żywność wyprawiliśmy skoro świt do lasu belmonckiego, udzielając im wskazówek w jakim kierunku mają iść, żeby przedostać się przez linię frontu.

Niemcy tymczasem stosowali terror. Wydano obwieszczenie, w którym zawiadamiano, że wzięto do więzienia 100 zakładników, z których 10 rozstrzelano natychmiast. Wśród rozstrzelanych był ~~niektóry~~ wybitny uczony ~~urzędnik~~ polski dr medycyny prof. Pelczar, adwokat, farmaceuta, urzędnik i 1 robotnik. Był to odwet niemiecki za zabicie ich szpicla. Obwieszczenie informowało, że w wypadku powtórzenia się mordu niemieckiego żołnierza, dalszych 10 zakładników zostanie rozstrzelanych. Wśród zakładników jak również zamordowanych nie było Litwinów - oni współpracowali z Niemcami. Ja dalej pracowałem przy budowie depa, kradnąc co dzień teczkę węgla z hałd, z których zaopatrywali się maszyniści kolejowi, prowadzący pociągi na wschód. Pracowałem do czasu, aż nie zjawił się Austriak Hans - inżynier rolnik, który chciał się ożenić z moją cioteczną siostrą Jadwigą Sawicką z Warszawy. Jechali do Rygi po jakieś papiery, świadczące, że kuzynka miała przedka Niemca. Widocznie wszystko pomyślnie załatwili, gdyż są dziś w Kanadzie. Otóż ten Hans poszedł do dyrekcji mojej firmy, gdzie przymusowo pracowałem, i wymógł zwolnienie mnie natychmiast z tej ciężkiej pracy. Obiecał mi, że gdy będzie wracał to poszuka mnie odpowiedniej pracy - dla studenta medycyny. Zapytałem mnie jeszcze czy wytrzymam te kilka tygodni bez pracy. Biedak nie wiedział, że z oficjalnej pracy nikt nie przeżyje, tylko trzeba było dodatkowo sprzedawać cenniejsze rzeczy, które się posiadało, coś wyhandlować lub ukraść. Tymczasem front się zbliżał coraz bardziej. Widać było po tyłu klęskach, że wojna jest przez Niemców przegrana, a związek Radziecki, wspomagany przez aliantów niestety rósł w siłę i napierał na obronę niemiecką coraz silniej. Na froncie wewnętrznym Armia Krajowa coraz bardziej dawała się we znaki podwójnym okupantom. U nas w domu p. Tapper robił częste odprawy oficerów. Ciągłe przychodzili coraz to nowi, całkiem nieznanymi i zawsze pytali o p. Piotra. Litwini też odnosili się do Polaków podle, bo byli wściekli, że Oddziały A K rozbiły im załóżek tworzonej się armii pod dowództwem gwn. Plechawicziusa. Armia ta miała zwalczać polskie i radzieckie oddziały partyzackie, współdziałając z armią niemiecką. I tego do dzisiaj Litwini nie mogą nam wybaczyć, gdyż w ich pojęciu oddziały A K były oddziałami bandyckimi. Natomiast przedstawiciele b. armii Plechawicziusa, wspierających armie niemiecką uważali i nadal uważają za bohaterów narodowych. Okupacja Wileńszczyzny przez Niemców zbliżała się do końca, a siła armii krajowej była coraz większa. Do AK wstąpił mój najmłodszy szwagier Bogusław Sadowski, który później został zabity przez bolszewickich partyzantów. Nawet nie wiemy gdzie został pochowany. Zginął też mój kolega Bolek Pilarski, bohatersko broniąc się w jakimś leśnym bunkrze, przed atakującymi go Niemcami. Pierwszym kolegą, który został zabity przez bolszewików był Zbyszek Rogiński. Zginął on w 1939 r. w wrześniu, gdy wspólnie z gajowym urządził zasadzkę na bolszewicki patrol i ostrzelał go. Niestety został schwyty i natychmiast

rozstrzelany. Gajowy, który mu towarzyszył, został puszczony wolno, gdyż oświadczył, że panicz zmusił go do strzelania. Front bolszewicki przybliżał się dość szybko do Wilna. Ku naszemu zdziwieniu, za jarem oddzielającym nasz dom od podnóża góry, na wąziutkiej drodze, na przeciwko naszym okien Niemcy urządzili dwa stanowiska dla moździerzy, które były pilnowane dniem i nocą. Bardzo to nam się nie podobało. Czyżby ~~tu~~ tutaj miałyby być linia frontu. Przeszły trzy dni wyczekiwania na dalszy rozwój wydarzeń i ~~moździerze~~ moździerze przemówiły. Sam nie wiedziałem co o tym myśleć. Przecież front był o 50 km. od Wilna - a tu już strzelano - do kogo? Sprawa szybko się wyjaśniła - o 6-tej rano walenie do drzwi zaalarmowało wszystkich domowników. Zjawiło się dwóch żandarmów niemieckich i oświadczyło nam, że w dziesięć minut mamy opuścić nasz dom. Musieliśmy się pośpiesznie pakować. Zabrać, co możliwe do zabrania i wynosić się z własnego domu. ~~Zabrać~~ Spakowaliśmy najważniejsze rzeczy do walizek, płaszcze zimowe włożyliśmy na siebie, chociaż ranek był ciepły i słoneczny. Kazano nam iść na punkt zborny przy komendaturze polowej w zachodniej części miasta. Zrozumieliśmy, że tym razem wykonanie tego rozkazu byłoby bardzo niebezpieczne (kopanie rowów, wywózka do Niemiec) i dlatego postanowiliśmy udać się do ciotki, która mieszkała przy ul. Zamkowej, w samym centrum Wilna. Szedłem z dzieckiem na rękę i ażeby nie zatrzymali Niemcy, żona niosła walizkę - mijaliśmy Niemców, których oblicza małe miały wspólnego z wyglądem ludzkim. Na ul. Połockiej mijaliśmy Niemców, obsługujących działko wycelowane na Trakt Batorego i skrzyżowanie ulic Krzywe Koło, Połocką i Belmncną. Zauważyłem, że armata miała 6 białych krążków na lufie, co miało świadczyć o ilości rozbitych sowieckich czołgów. Niemcy krzyczeli na nas, żebyśmy się śpieszyli - a wypędzonych z domów ludzi było bardzo dużo. Niemcy byli wściekli i krzyczeli coś między sobą a wpadło nam w uszy "polnishe banditen". Zrozumieliśmy więc, że zaczęła się bitwa o Wilno między armią krajową a Niemcami. U cioci byliśmy zamknięci w domu a brama podwórkowa - solidna też była zamknięta. Można było się czuć względnie bezpiecznie, gdyby nie głuchoe detonacje i ciągała strzelanina, która nie dawała nam chwili wytchnienia. Okazało się, że te detonacje były powodowane wysadzaniem przez Niemców gmachów użyteczności publicznej. Nie chcieliśmy nadużywać uprzejmości Cioci i po zbadaniu sytuacji w mieście, postanowiliśmy udać się na wschodni brzeg Wilii - do Jerozolimki na spotkanie linii frontu. W Jerozolimce mieszkała moja siostra. Plan był trudny do zrealizowania. Przez Zielony most już nie puszczano - był zaminowany. W mieście Niemcy wyłapywali młodych mężczyzn do kopania rowów przeciwczołgowych. Nie odstraszyło to jednak nas od wykonania zamierzenia. Ja wziąłem syna na barki i udając kulawego przemykaliśmy się wraz z żoną przez park "Cielętnik", w kierunku rzeki, gdzie zawsze były łódki, umożliwiające przeprawę przez rzekę, na wschodni brzeg. Cały park był wypełniony wojskiem. Ustawiano armaty przeciwlotnicze i gromadzono amunicję do nich. W wielkim strachu, ~~nie~~ ~~rozglądaliśmy się~~ przeminęliśmy to miejsce i ku naszej wielkiej radości spostrzegliśmy, że przeprawa na wschodni brzeg będzie możliwa. Przeprawiali ludzi na drugą stronę rzeki żołnierze w cywilu - akowcy, którzy w pierwszym rzędzie zabierali mężczyzn. Wypełnioną, do dopuszczenia czalnego zanurzenia, łodzią, przewieziono mnie z synem pod elektrownię. Czując się stosunkowo bezpiecznie, bo nie było Niemców, czekałem aż ~~prz~~ przeprawi się żona. Niedługo i żona znalazła się przy nas. Tutaj był spokój. Szliśmy ulicą Derewnicką w kierunku Rynku Kalwaryjskiego i przez Trynopol, chcieliśmy się przebić do Jerozolimki. Zaraz za rogatkami na t.zw. "Wojennym Polu" spostrzegliśmy dwa stanowiska artyleryjskie, odległe od siebie o przeszło 500 m. Musieliśmy je ominąć, przechodząc między nimi. Szliśmy w strachu czy nas nie zatrzymają i nie odeślą do więzienia - ale frontowi żołnierze nie zwracali na nas uwagi. Zeszliśmy w dół i kierując się na prawo, znaleźliśmy się nad Wilią tuż przy pięknym Kościele Trynopskim. Było cicho i spokojnie - opanowało nas rozkoszne uczucie odprężenia. Zrozumieliśmy, że znaleźliśmy się

między frontami i że najgorsze jest poza nami. Postanowiliśmy się wykąpać w Wilii i odpocząć w lesie. Był to niezapomniany odpoczynek. Po krótkim marszu dotarliśmy do siostry. W południe Jerozolimka była już zajęta przez partyzantów AK, którzy przeczesywali przedpole przed atakiem na Wilno. Noc jednak była bezsenna, gdyż od strony Werek szły na koncentrację siły polskie i hałas dochodził aż do nas. Słyszeliśmy komendy polskie, turkot wozów. Z ~~drugą~~ przeciwnej strony słychać było że Niemcy podciągają swe siły na osi głównej szosy z Wilna do Gulbin. Koło godziny 24 nastąpiła cisza, która została przerwana nagłą strzelaniną. Światłne pociski pruły w dwie strony ciemne niebo. Zaraz po wymianie ognia dał się słyszeć rozkaz: naprzód! Na Wilno! Okropny krzyk szturmujących żołnierzy i kanonada docierały do nas bardzo wyraźnie - byliśmy nie dalej jak 300 metrów od szosy. Słyszeliśmy tupot nóg i wrzaski bardzo wyraźnie. I znowu nagła cisza. Rano cała Jerozolimka była zdobyta. Wszędzie były patrole polskie. Jak się później okazało Wilno zostało zajęte do rzeki Wilii. Reszty miasta bez sprzętu saperskiego i artylerii nie mieli możliwości zająć. Mosty zostały przez Niemców zniszczone. Reszty miasta broniła 10-cio tysięczna załoga niemiecka, kierowana ze słynnego ze swej mocy bunkra przy ulicy Subocz. W Jerozolimce sytuacja była niepewna. Ludzie zaczęli mówić o jakiejś bitwie między AK i Niemcami pod Mickunami i że Niemcy ponownie zbliżają się od Zachodu w kierunku Jerozolimki. Jak się później okazało rzeczywiście, większa część garnizonu niemieckiego potrafiła się wyrwać z okrążenia sowieckiego i chciała się połączyć z resztą sił niemieckich. Na przeszkodzie tym planom stanęła brygada majora Węgielnego - (dowódcy brygady AK), który stoczył z Niemcami krwawą walkę zwycięską, ale połączoną z dużymi stratami z obu stron. Poległo dużo Niemców ale poległo i dużo Polaków. W tej bitwie zginął mój szwagier Janek Czarniecki, który został pochowany niedaleko kościoła Kalwaryjskiego, po ponownej ekshumacji - tam spoczywa do dziś. Mogiła ta, jak mi wiadomo, często jest bezczeszczona przez nacjonalistów litewskich, gdyż Litwini nie chcą mieć takich pamiątek, które świadczą o ~~złoty~~ wyzwoleniu Wilna przez Polaków. Po kilku dniach walk o Wilno pozwolono nam wrócić do miasta. Przeprowadziliśmy się po moście pontonowym sowieckiej armii na ~~XX~~ Antokolu. Ponieważ wprost na Żarzcze i ul. Kościuszkę jeszcze nie puszczano (jeszcze trwały walki), musieliśmy się przebijać okólną drogą do ul. Krzywe Koło. Po drodze prześliśmy pole minowe nic o tym nie wiedząc. Tylko żołnierze sowieccy, stojący po przeciwnej stronie pod lasem coś do nas krzyczeli, machali rękami, ale my nie rozumieliśmy tego i posuwaliśmy się w ich kierunku. Ja szedłem z synkiem pierwszy a żona z tyłu za mną. Mieliśmy wielkie szczęście, że nie natknęliśmy się na minę. Dopiero po przejściu tego pola i spotkaniu z czerwonoarmistami zrozumieliśmy, w jak nierozważny sposób poruszaliśmy się. Na obrzeżu pola stała tabliczka "ostrożnie - miny" a Bolszewicy właśnie mieli przystąpić do rozminowania tego pola. Stąd już łatwo dostaliśmy się na Krzywe Koło i w miarę zbliżania się do domu narastał w nas lęk, czy dom nasz istnieje. Mijaliśmy bowiem domy popalone, zbombardowane. Na zwłoki niemieckich żołnierzy, leżących w rowie, a nawet na rozbite i spalone sowieckie czołgi na krzyżówce z Traktem Batorego, nie zwracaliśmy już większej uwagi. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy zobaczyliśmy, że dom stoi cały i zamknięty. Zaczęliśmy więc nowy etap w naszym życiu - ponowną okupację sowiecko-litewską, chociaż Litwinów w mieście nie było widać nawet na lekarstwo. Władza w Wilnie wydawała się być polską i miasto jakby święciło powrót do polskości. Domy wywiesiły biało-czerwone chorągwie, i na ulicach mnóstwo patroli AK, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Patroli sowieckich było bardzo mało. zZ czasem proporcja ta zaczęła się zmieniać. Zniknęły biało-czerwone chorągwie i partyzanckie patrole. Pojawiły się oddziały partyzanckie sowieckie, dowieszone przez bolszewików z białoruskiej części ZSRR. Wilno polskie znowu stawało się sowieckie. Pojawiła się czerwona milicja i NKWD. Koledzy masowo wstępowali w szeregi AK.

Nasza zacna p. Tapper zapytała mnie czy ja ~~ja~~ nie powinienem też tak postąpić. Myślałem, że miała rację, mimo, że ze względów zdrowotnych nie wzięto mnie do wojska w 1938 r. jak również, gdy zgłosiłem się na ochotnika bezpośrednio po wybuchu wojny. ~~Również~~ Dodatkowym problemem dla mnie było pozostawienie żony z dzieckiem małym bez zabezpieczenia środków do życia i opieki. Wyszedłem jednak z domu do punktu werbunkowego, ale po drodze spotkałem kolegę gimnazjalnego Edwarda Klincewicza, który od dawna był w AK i on odradził mi, żebym nie zaciągał się w ich szeregi, gdyż po pierwsze ich sytuacja staje się bardzo niepewna: mają być skoncentrowani w Miednikach, podobno dla utworzenia oddziału polskiego przy armii radzieckiej ale również fama głosiła, że mają być rozbrojeni. Po drugie, gdyby wszyscy młodzi Polacy wstąpili do AK - to ułatwiłoby ~~się~~ rozprawę z ich organizacją bolszewikom. Zrozumiałem dobrze jego rady i odstąpiłem od zamiaru. Niedaleka przyszłość pokazała

jak stasnie i zdradziecko rozprawiono się z polską armią krajową na wileńszczyźnie, która pierwsza oswobodziła nasze tereny od najeźdźców niemieckich. Rozbrojono ichi wywieziono do lagrów sowieckich, skąd

nie wszyscy wrócili. Mój kolega Władek Piotrowski, przez cały okres okupacji nie udzielał się wojskowo a zgłosił się do AK po wejściu tej armii do Wilna, został wywieziony do Kaługi, ~~innym kolega z Workuty pisał list do matki: "Mamo, nam już tu nie potrzeba tylko się modlić i stamtąd ledwo się wydostał z życiem. Inny kolega Weno Paecak napisał list do matki z Workuty: " Mamo nam już nic nie potrzeba - módl się tylko za nas."~~

Podczas okupacji niemieckiej był duży niedostatek żywności, ale głodu ~~nie~~ nie było: ogród warzwy, kartki żywnościowe, pomoc rodziny trzymała nas na powierzchni, ale teraz znaleźli my się bez środków do życia. Postanowiliśmy więc z żoną, że wybierzemy się do naszego dzierżawcy, który przestał cokolwiek płacić za wydzierżawianie 12 hektarów ziemi. W tej ~~ekspedycji~~ eskapadzie więc widzieliśmy jedyny sposób na zaopatrzenie się w żywność. Przeszliśmy jednego dnia 40 km., mając ze sobą 1 litr wody i pół kg. chleba. Nadzieje nasze spełniły się. Dzierżawca Siękańc-Lisowski obficie nas zaopatrzył w żywność i ruszyliśmy w powrotną drogę. Na pewien czas głód został oddalony. Zacząłem się rozglądać za pracą. Wybór padł na przychodnię kolejową na Pohulancu, gdyż praca tam gwarantowała mi, że nie zostanę wcielony do wojska - gdyż kolejnictwo było uważane za organizację wojskową. Zacząłem pracę jako felczer ( byłem studentem II roku medycyny), ale wielu rzeczy musiałem się nauczyć w takiej pracy i ona przysparzała mi więcej stresów niż zadowolenia. Szczególnie pogorszyła się sytuacja, gdy naczelnik polikliniki dr Bużański ( wileński Żyd) zlecił mi wykonywanie lekarskich wizyt domowych. To był najgorszy okres w moim życiu. Nie znałem się na chorobach i ich leczeniu, a strasznie się bałem, żeby nie zrobić komuś krzywdy. Moje monity, żeby zwolnić mnie z wykonywania wizyt lekarskich nie odnosiły żadnego skutku. Dr Bużański mógł wysłać w teren świeżo przybyłą z ZSRR dr Landauer, ale po jej kompromitacji, gdy na oczach pacjentów, przemaszerowała z podwiniętą suknią po wyjściu z ubikacji, ukazując majtasy tak dziurawe i brudne, nie chciał jej puścić w teren. Trzeba dodać, że p. dr nie znała języka polskiego, a pacjentami byli Polacy, w przeważającej większości.

Powoli znowu w nasze życie zaczął wkraczać terror. Został aresztowany mój dobry znajomy dentysta dr Światogor, który przed napadem Niemców na Związek Radziecki przyjechał ze wschodu i został zatrudniony w Poliklinice kolejowej. Przez całą okupację niemiecką pracował i nie mieszał się do polityki. Stalin mu nie darował tego, że nie uciekł do swojej ojczyzny przed Niemcami i zesłał go za karę do lagrów. Została też aresztowana jedyna lekarka okulista ~~Kawłoka~~ Pawlikowska za udział w AK, a nasz kierownik przy próbie interwencji został ostrzeżony, że zamkną i jego, gdy będzie się za nią wstawiał. Urząd kolejowy NKGB mieścił się naprzeciw naszej polikliniki przy ulicy Słowackiego. Pamiętam w jakim strachu szedłem do tego gmachu, gdy wezwano mnie podczas dyżuru, do jakiegoś majora, a tam musiałem przedstawić się jako

lekarz, gdyż takie miałem polecenie kierownika. Przyjął mnie major, ~~był zdrowy~~ ale zachorowało mu dziecko i prosił mnie, żebym je zwizytowałem. Sprawa pomyślnie się skończyła, gdyż dziecko było trochę przeziębione i sama aspiryna i syrop wystarczyły na wyzdrowienie. Skutkiem nasilającego się terroru Polacy lekarze zaczęli wyjeżdżać do Polski, więc kierownik łatał dziury po lekarzach felczerami. Odejść z polikliniki też nie było bezpiecznie - sowiecka armia wołała o uzupełnienia. Wybuch powstania w Warszawie był skomentowany w sowieckiej prasie jako zmowa imperialistów, żeby zgubić Warszawę. Pomimo, że miałem dokument w kieszeni, że jestem zwolniony do końca wojny przed mobilizacją do armii, to kiedyś wojskowy patrol aresztował mnie i po kilku godzinach zatrzymania doprowadzono mnie do "wojenkamatu" przy ulicy Nowogródzkiej - gdzie, po obejrzeniu moich dokumentów, oficer kazał mnie wypuścić. Gdy tylko wojna się skończyła, przenieśliem się do pracy ~~na~~ w miejskim pogotowiu ratunkowym. Tam już nie dałem się wciągnąć do pracy jako lekarz - chociaż dwaj moi koledzy z roku: Błagowieszczewski i Gamper byli zatrudnieni jako lekarze i namawiali mnie, żebym ja przyjął tę funkcję. Stanowczo odmówiłem przyjęcia tego stanowiska, gdy sam kierownik usiłował mnie przekabacić na ich stronę. Ale i ta praca nie układała się tak, jak powinno to być w pogotowiu. Jedna sanitarka ( gazik ) na kilkuset tysięczne miasto, to stanowczo za mało. Tym bardziej, że i p.o. lekarze, żeby żyć, też kombinowali jak przeżyć. Pamiętam, że pewnego dnia przyszedł mój kolega i powiedział mi, że jest okazja zarobić parę setek rubli za przewóz kilku worków mąki do Lidy. Karetką było to bezpieczne, gdyż milicja nie kontrolowała pojazdów Czerwonego Krzyża. Ja miałem pełnić dyżur przy telefonie i w razie jakichś wezwań miałem wytłumaczyć ludziom, że muszą sami przewieźć chorego do szpitala. Ludzie telefonowali a im tłumaczyłem i lawirowałem jak mogłem, żeby ich przekonać, że w tej chwili nie stać nas na udzielenie jakiegokolwiek pomocy. Więcej już nigdy nie dałem się namówić na podobne eskapady. W pogotowiu zdarzyły się i mniej ciekawe epizody. Pamiętam jak przyszedł po pomoc robotnik, któremu odłamek cegły spadł na głowę. Mój kolega, p.o. lekarza, wzięwszy pincetę próbował coś wyjąć z rany - to coś to była tętniczka i gdy mocniej pociągnął - to pękła, pacjent zemdlął, sikając krwią prawie do sufitu. Skończyło się to na natychmiastowym przewiezieniu do szpitala, rannego. Zdarzyło się też, że ten kolega dostarczył na oddział zakaźny rodzającą, mylnie stawiając diagnozę, że to jest tyfus. Bolszewicy, po zlikwidowaniu oddziałów A K, wzięli się ~~do~~ za eksterminację ludności polskiej, cywilnej, przede wszystkim mężczyzn. W NKGB wpadało do zakładów pracy i pod pretekstem sprawdzania dokumentów ( t zw. "pierewierka dokumentów", zabierała dowody tożsamości, polecając odebrać je w komisariacie. Niestety, ludzie ci już nie wracali, byli aresztowani i wywożeni na wschód. Gdy się wieść o tym rozeszła po mieście, w momencie nacierania NKWD, dawany był sygnał ~~xxjakieskukx~~ umówiony i osoby, mające coś nie w porządku, kryły się. ~~Winn~~ Zostawali "absolutnie czysti" - mimo to, procedura pozostała, tylko już w mniejszym zasięgu, co nas przekonało, że nie chodziło im o t.zw. "wrogów ludu" a o określony z góry kontyngent, wywożonych z naszych wschodnich ziem Polaków. Nasz bliski sąsiad p. Sieklucki, chłop potężny i zdrowy, został schwytany na pracy w trakcie sprawdzania dokumentów, więziony miesiąc w więzieniu, został wywieziony na roboty przymusowe Do Donbasu. W Wilnie, na dworcu towarowym, wprowadzano ich ( całe kolumny ) na kolanych do wagonów - w Związku radzieckim - na dworcu kolejowym spotkano ich z orkiestrą - witano, jako ochotników do pracy. Wrócił ten nasz znajomy po półtora roku jako wrak człowieka - opuchnięty z głodu, wycieńczony do ostateczności i załamany psychicznie. Drugi znajomy - Tatar Rajewski został uwięziony na Łukiszczkach za podejrzenie, że należał do AK, później został ~~wx~~ wywieziony do lagru w mieście Gorki a jego matce pozwalano składać paczki żywnościowe przez pół roku, chociaż syna już dawno nie było w więzieniu. NKWD zjadało żywność z paczek. Łapani na ulicach, ~~kptkx~~ kotły w domach, areszty nawet w

miejscach pracy, miały za cel zastraszenia i zmuszenia ludzi, żeby się zgłaszać do punktów repatriacyjnych na wyjazd do Polski. Komunistyczna prasa głosiła, że wszystkim wyjeżdżającym do Polski gwarantowana jest praca i całkowity zwrot mienia nieruchomego. Terror nasilał się. Moich kolegów rozstrzelano za to tylko, że należeli do AK. Tak zginął student medycyny Kuroczkin i mój kolega szkolny Tomasz Antropik. Zastanawiałem się dlaczego tak łagodnie potraktowali oskarżonych w procesie moskiewskim generała Okulickiego i jego grupę, gdy tu na miejscu tak hojnie szafowano wyrokami śmierci. Może młody akowiec był groźniejszy niż zaawansowany w latach przywódca Polski podziemnej. I rzeczywiście - beznadzieja i terror podwójny ( litewsko - radziecki) okupacji zrobił swoje. Ludzie bali się wywózek, więzień, karta obcokrajowca paliła kieszenie. Kto mógł to zamieniał ją czym prędzej na kartę ewakuacyjną lub paszport sowiecki. Próbowałem i ja uzyskać czasowo paszport, który chronił przed wywiezieniem, ale komendant MO - ruski bolszewik odmówił mi go i zagroził, że jeżeli szybko nie wyjadę, to oni mnie wywiozą, z całą rodziną na "białe niedźwiedzie". Po zarejestrowaniu się w PURze, oczekiwaliśmy długo na nasz transport Nr 46. Był on ciągle odwoływany, często w ostatniej chwili. W międzyczasie aresztowany został nasz przemyślny sublokator p. Piotr Tapper a rewident z NKWD kazał sobie zapakować pamiątkowy, marmurowy zestaw do pisania, ofiarowany mu przed wojną przez towarzyszy broni. ~~Jednocześnie~~ Jednocześnie na protokół rewizji kazał podpisać mojej żonie jako świadkowi, że nic nie zostało skradzione. Aresztowany też został jego syn Ks. Mikołaj z Ejszyszek, gdyż sympatyzował z polskimi partyzantami. Był przetrzymywany jakiś czas w więzieniu w Trokach, gdzie odwiedziła go jego matka. Rany na całym ciele od pogryzienia przez wszy, niedojedzenie i gruźlica, bardzo nadsłabły jego siły. Ojciec i syn zostali skazani na 10 lat ciężkiego więzienia i wywiezieni do któregoś z lagrów w okolicy Workuty, gdzie też zmarli z głodu, zimna i nieludzkich warunków pracy. Drugi syn Jerzy Tapper - podchorąży rezerwy, zdołał się wymknąć z łap NKWD i przedostał się do Polski. Uniknął w ten w ten sposób losu swego ojca i brata. Wreszcie, w lipcu 1946 r. przyszła kolej i na transport. Nie wszyscy Polacy wyjechali do kraju. Wyjechała przede wszystkim inteligencja, która była najbardziej narażona na zakusy wyniszczenia przez bolszewików, wyjechało część Litwinów wileńskich, bojących się NKWD, wyjechali spolonizowani białorusini, którym widocznie nie było tak źle w Polsce. Nie chcieli opuścić Wilna ludzie starzy, którzy czekali na powrót Wilna do Polski i chcieli upilnować resztek dobytku np moja ciotka Marta, ciotka żony Stanisława Sadowska - były stare i nie groziły im represje. Nie zezwolono na wyjazd memu kuzynowi Rosjaninowi Dymitrowi Błagowieszczeńskiemu i jego żonie Polce. My opuszczaliśmy miasto rodzinne z wielkim żalem. Udawaliśmy się do niby wolnej Polski ale w rzeczywistości zniewolonej przez Rosję aż do roku 1989, kiedy upadł ostatecznie rząd komunistów.

Józef Sidorowicz

Wrocław ul. Australijska 3

54-402- Wrocław

ARCHIWUM